

JÓZEF LASOŃ.

Wieczór wigilijny...

(Fragmenty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Smutna dziś w całej Polsce wigilia...

Nie masz tu rodziny, w którejby kogoś przy stole wigilijnym nie zabrakło.

Drżące ręce staruszki matki ujmą opłatek, łąza potoczy się po umartwionej twarzy i myśl popłynie tam, gdzie wre walka z wrogiem, a może do nieznanego mogiły syna...

I popłyną łzy matek, żon, sióstr. Zapłaczą ci chutkim głosikiem roje dzieci, pytając natarczywie matki:

— Mamciu, gdzie tato? mamciu, a tatuś nie będzie na wigili?

I nie odpowie matka, bo może ból serdeczny jej sercem ścisnął, zamarty jej słowa na ustach...

Ręce ujmą opłatek w dłonie, drżące ręce matki, żony, a myśl popłynie, wraz z serdecznym bólem i tęsknotą daleko w wir walki, a może do cichej, nieznanego mogiły...

A nad polską ziemią, w wieczór wigilijny, gdy zabłysną gwiazdy, rozpetają się złe moce wojny — pękające granaty i szrapnele, jak gwiazdy z niebios strącone padając, szerzyć będą zniszczenie i śmierć.

Smutny wigilijny wieczór w Polsce...

A pod wieczór, gdy szarżyzna nocy wtulać się poczęła w obmarzłe gałązki drzew, okryte śniegiem i przyciskać do białego śnieżnego pokrowca ziemi, gdy wichur północny tumany śnieżne włóczyć począł po ziemi, jakby ogony komet, nagle ku ziemi przyciągnięte, gły mróz pocznie coraz silniej przyrodę i ludzi ścisnąć zimnym swym pocałunkiem, śmierć wróżącym — i ludzie w wieczór ów poczną gwiazdy wchodzącej wyczekiwać, aby zasiąść do stołu wigilijnego, aby przy stole wyczekiwać na północ i powitać przychodzącego na świat Chrystusa-Zbawcę — poczną nad polską chatą błyskać pękające pociski armatnie, z świstem wiatru zmiesza się świst kul śmiertelnych, ruinę i zniszczenie, śmierć i zagładę niosąc...

Wieczór wigilijny...

Choć już gwiazda zeszła, zaskrzyło się na niebie, nie zabłysły światła po nędznych lepiankach chłopskich, wieś jakby zupełnie zamarała.

A nad wsią gwiazdy szrapnele lecą, jakby powitać chciały narodzić się mającego Chrystusa.

Czasem przemknę się szara postać żołnierza przez wieś, czasem z okrzykami żołnierzy, biegnącymi do szturm, zmiesza się jęk, krzyk śmiertelnie rannego. I znów złowroga cisza. Zawyje rozpacznie pies, zakracze przestraszony kruk i wrona, i pod strzechę wieśniaczka się wtulą, aby z rannym brakiem zerwać się na ucztę...

Nędzna lepianka wieśniacza...

Nie błyska w niej ogień na kominku, zimnica technie swym mroźnym oddechem, nie błyska światło lampki na stole, ni świece przy stole wigilijnym. Chłopi wiejskich parę skuliło się przy kominku zimnym, własnym ciałem ogrzać się pragną, trwoga usiadła na wybladłym, wynędzniałym obliczu ze szklanymi oczami, na których łzy w lód się przemieniły, patrzą na wyczekujących, stojących z trwogą przy oknie chaty rodziców, którzy wsłuchują się w przeraźliwy świst kul, z rozpaczą myślą o chwili, kiedy gwiazda-granat uderzy w ich chatę i pograży w otchłani gruzów i śmierci...

I biegnie myśl chłopiat do szczęśliwych czasów, kiedy kolednicy z gwiazdą pod okna przyszli, chórem zaśpiewali, matula chatę na oścież roztworzyła, zapraszając na poczęstunek.

Chłop targa siwy swój włos na głowie i nie śmie spojrzeć na skuloną przy kominku gromadę swych chłopiat, bo mu się serce na strzepy drze, bo mu ta cisza, przerywana hukami armat, zgrozę chwili przypomina.

Północ...

Bóg się rodzi...

Pusty kościółek wiejski, nie zagrzmiały gromady chłopskiej głosy: „Bóg się rodzi, moc truchleje”.

Przy kominku tylko cichy szept:

— Północ, na Pasterkę się szło!...

Matus do chłopiat gromadki podejdzie, choć i jej łzy lody zamroziły twarz, sercem swym, jak skrzydłami otoczyć chce krew swoją i pociesza:

— Nie płaczcie dzieci! Nie smućcie się! Bóg nas w swej opiece nie opuści, przejdzie wszystko!

I pociesza ich mimo, że sama ukojenia w swej duszy znaleźć nie może...

Północ, Bóg się rodzi...

I świecą gwiazdy-szrapnele, padają gwiazdy-granaty, ryją ziemię, chaty kładą pokotem...

Jakby chciały obwieścić ludom i światu, że Bóg się rodzi, moc truchleje i przez cierpienia i ból, przez mękę i krew zbliża się chwila Odkupienia, chwila Wyzwolenia...

Wigilia w chłopskiej chacie, roku tysiąc dziewięćset piętnastego, gdy gwiazdy granaty wieszczą światu i ludziom, że:

Bóg się rodzi i zbliża się chwila Odkupienia i Wyzwolenia...

Wryli się jak krety w ziemię, która chroni ich od zdradliwych kul; płatki śnieżne, coraz gęściej padając, kobierzec biały jakby z puchu łabędzi pod stopami żołnierskimi utworzyły. Zmarzniętą ziemię pokryły młode, wrące krwią gorącą ciałami, rozgrzały się stwardniałe grudy, śnieg wsiąkać zaczął w mundur żołnierzy, wgryzać się w ich ciała, lodem ścisnąć krew. Wichur płuc zaczął w twarz, zasypując usta śnieżno-błotną lawą, huczał, wył, szalał, gdzieś z głuchego boru wypadłszy, na tańce się puścił zawrotne, jakby urągał świszczącym pociskom paszcz armatnich. Rozpoczął swój taniec, gdzieś od gór Uralu, na okopy się rzucił żołnierskie, chcąc je powalić, zburzyć, jakby się zmówił z wrogiem. Zawrotne harce wyprawiając, przeleciał ponad przywartymi do rowów strzeleckich żołnierzami i popędził szlakiem, kędy polski żołnierz z bagnetem w ręku nieprzyjaciela gnał, kędy drogi znaczone były mogiłami i kurhanami, gdzie poorana granatami ziemia, gdzie jedno pasmo ruin, zniszczenia, cierpienia, bólu i żałoby... I popędził aż pod śnieżne szczyty Karpat, aby się wyhulać, gniew swój wywewnętrzzyć...

A ludzie żołnierze, przyczajeni w rowach, czekają na siebie, aby się rzucić, jak ów wichur, w zawrotne tańce szturm, niosąc sobie wzajemnie rany i śmierć...

Już blaski dnia chować się poczęły na znikającym horyzoncie nieba, już szarżyzna wychyla się gdzieś z borów, z przepastnych jam i skał, i jak węże rozpełzły się jej zausznice — mroki nocne i obejmować poczęły świat...

Niedługo i Jutrznia gwiazda, jak rakietka zabłyśnie na niebie... i rozpocznie się długi zimowy wieczór i noc... wigilijna...

Poruszyły się postacie w rowach, drżąc z zimna szeptać poczęły żołnierze, rozgrzewać zmarznięte ciała.

— Wigilia dzisiaj! — szepnął żołnierz cicho do towarzysza.

— Wigilia — odpowiedział mu wyrwany szept z gardła, spowity łąza, tęsknotą, bólem...

— Niedługo pójdziem do szturm!

Skupili się żołnierze i szepcą poważnie:

— Pamiętajcie! Choinka skrzy się światłem, na kominku ogień bucha i... i...

Szept wraz z myślą biegnie od rowów strzeleckich, gdzieś może już na spalonych sadybach ludzkich usiada, może już na mogiłach błdzi, w kościółek wiejski bieży...

I długa chwila, cicha długa chwila milczenia, póki nie wyrwie z zadumy ryk paszcz armatnich, póki nie zagrmi głos komendy:

— Do szturm, gotój broń.

I z tysięcznych piersi oszalały krzyk:

— Hurra, hurra, hurra!...

Noc długa, zimna, wigilijna noc...

I szept się wydziera z rowów, nieśmiały z początku, a potem coraz silniejszy, aż zleje się w chór potężny z rycerskich wydarty piersi:

— Bóg się rodzi, moc truchleje...

Milknę na chwilę huk armat, karabiny przestaną płuć żelazem, wychyli ostrożnie nieprzyjacieli głowy z za swoich okopów, przestaną czyhać wzajem na siebie wyloty luf, bo pieśń oznajmia, że Bóg się rodzi...

I szepciem zaśpiewa sobie wróg-brat, strzegąc silnie słowa w gardle, aby je nie usłyszał towarzyszywróg, i niejedna łąza potoczy się z ocz, i niejedna myśl braterska popłynie z okopów wroga...

Aż tu nagle oszalały zerwie się krzyk z tysięcznej piersi, niedokończone słowa o narodzinach Pana skonają na ustach, bo zgniecie je oszalały krzyk:

— Hurra, hurra, hurra!...

Kwatera...

Stara chata wieśniacza o zwałonym kominie,

o zerwanym dachu, wybitych oknach, opuszczona przez dawniejszych jej mieszkańców, których zgroza wojny wypędziła na tułaczkę, na nieznana złą dolę, a może i śmierć. Co nie zdołali unieść ze sobą, czego nie zdołali zrabować Moskale, żołnierz do okopu zabrał, aby czy to przed kulą się zasłonić, czy to ulżyć ciężkiej swojej żołnierskiej doli.

Naszło ci do niej pełno szarych mundurów, wkręciło się kilku ułanów z olbrzymimi szabliskami, tupiąc hałaśliwie niezgrabnymi, ciężkimi buciskami, uzbrojonymi w ostrza zębatach ostróg. Grzeją się, gwar i zamieszanie w opuszczonej chacie chłopskiej czynią.

Piechury, obecni władcy tej kwatery, zioną na nich słowami, nawołując do spokoju...

— Hej chłopcy, wigilie dziś obchodzimy! Dalejże do trenów, zabrać kto co może, niechże ci kucharze ogień szykują, kto wolny od służby, szykuj nogi, za mną... marsz...

Już na kominku ogień płonie, już się krzątają koło stołu, zbitego na prędkę z niehyblowanych deszczek, które może na trumienki żołnierskie miały służyć, i ławki proste już zbito, okna zasłonięto kocami, ruch i gwar na wszystkie strony się rozchodzą...

— A spieszcie się, spieszcie — ochryplym od wichru głosem ryknął komendant-kucharz, karabin odstawiając pod ścianę, a w rękach dzierży olbrzymią warzechę, jakby maczugę.

— Spieszcie się, by nim gwiazda zeszła, do stołu można zasiąść.

Paczki świąteczne, przysłane od ukochanych, czasem od nieznanych, na gwałt rozpakuwują, i darowane im skarby na „Gwiazdkę” składają na ziemię. Opłatki na stół położone, na sianku świeżem, co dopiero z pod pyska konika ułańskiego zarekwirowanym. Ruszył łbem ułański konik, kiedy mu piechur z pod nozdrzy sianko sprzątnął, powiódł smutnie wiernymi swymi oczami i jakby się dorozumiał, że to Dzieciatku pod żłobek, bo zadrżał radośnie, zdając się mówić:

— Dejcie, dejcie Dzieciatku do żłóbka, dejcie, moje sianko!

Już i gromnice chłopskie, co to na Matkę Boską Gromniczną z za obrazu się wyciąga, święconą wodą w kościele kropi, a dziwnym trafem w plecakach żołnierskich są dziś przechowywane, jak relikwie ze zburzonych chat, na stole już stoją i kiedy Jutrznia gwiazda zabłyśnie, zaświecą i one przy tej uczcie — żołnierskiej wigili.

A potem, potem, po wigili, powędrują z powrotem do nigdy nie zapełnionego plecaka, spocznie tam na dnie wigilijna gromnica, bo przyda się w polu, wśród walki, gdy smutkiem przepełniona dusza żołnierska zapagnie skostniałą od zimna ręką skreślić parę słów do ukochanych... gdy nocą rannego koleżę trzeba opatrzyć lub mu w chwili konania zaświecić i ostatni raz popatrzeć w oczy kochanego towarzysza-druha, myśl ostatnią z gasnących źreń wyczytać, aby przesłać ostatnie nieme już wyrazy ukochanym, ostatni może już szept:

— Po...wiedz... żem o... nich myślał... i o Pol... sce... Zanieść... im... ostat...nie... mo...je...

Więc idzie z powrotem gromnica chłopska do plecaka, jak relikwia ze zburzonych chat...

Wieczór zapada...

Zabłysła Jutrznia, piechury w mig zapalili świecę, zaproszony komendant ujął w szorstkie ręce opłatek, żołnierze, wyciągnięci jak struny, czekają na jago słowa, trzymając w ręku opłatki lub kawał żołnierskiego, czarnego chleba.

— Chłopcy! — zaczyna komendant szorstkim, rubasznym, ostrym głosem, z poza którego wygląda rozłazwienie, płacz stalowej duszy, która nie dopuści łąza do oka, jeno ukryje ją w sercu głęboko, jeno zadrży nieznacznie głosem...

— Chłopcy! — powtórzy dobitnie. — Druga to nasza wigilia w walce ze śmiertelnym naszym wrogiem. Przeszliście ze mną, przebiegliście Polskę od Karpat począwszy, z karabinem w dłoni ścigaliście wroga, dotarliśmy aż tu do pińskich błot, niestrudzeni, nieustraszeni na nic, bo was miłość Ojczyzny tu przywiodła, kazała wytrwać, kazała cierpieć i walczyć, aż do ostatniego tchu. Wy nie z tych, co Polskę mają na ustach, a w sercu obojętność głuchą, wy z tych, co dzierżycie rozwinętą chorągiew Polski i karabin i przeto bracia moi, żołnierze moi, druhowie wierni, cześć wam... Nie mogę mówić, łąza w sercu mi usiadła, w kamień się przemieniła — złożę wam przeto żołnierskie życzenia: żyć, obyście przez te dni męki, przez trud i śmierć kolegów dożyli chwili, w której krzyknąć będziemy mogli z serca i duszy: Oto spełniliśmy swój obowiązek, oto wytrwaliśmy, Ojczyzna dziś wolna od wroga, oto wyzwolona Polska...

Skończył komendant, splotły się poorane tru-